

GONIEC OBOZOWY

Pismo żołnierzy internowanych



ROK IV **W OBOZIE, DNIA 1 LIPCA 1943 R.** **NR 13 (69)**

Europejskie posłannictwo Polski

(„Weltwoche" z 7 V 1943)

(F.D.) Rozpocznijmy od małego wspomnienia o Wilnie z 1918 roku. Niemcy dopiero co powrócili właśnie do swoich domów, Moskale jeszcze się nie zjawili, a to krótkie bezkrólewie wykorzystał tymczasowy rząd litewski do objęcia władzy. Zdarzyło się, że w czasie tych burzliwych dni korzystałem z gościny w jednym z najpoważniejszych polskich domów tego miasta. Nierzadko zwracano się tam do mnie z takimi uwagami: »Nieprawda, Wilno jest polskim miastem? Poza polską prawie że nie słyszy tu pan innej mowy. Cała kultura tego kraju jest polska. Z Warszawą łączą go więzy dziejowe. Pan jest neutralny i, jako bezstronny widz, musi pan przecie przyznać, że Wilno jest polskim miastem...« Cóż pozostało innego, jak odpowiedzieć: »Oczywiście, ma pan słuszność, jeśli pan te rzeczy tak ujmuje.« Wkrótce potem, nieraz tego samego wieczoru, zdarzało mi się bawić w domu czołowej osobistości litewskiej. Odzywano się tam do mnie w ten mniej więcej sposób: »Nieprawda? Pan jest przecie neutralnym, musi pan więc przyznać, że nie można sobie w ogóle wyobrazić Litwy bez Wilna jako stolicy. Przecież było ono stolicą państwa wielko-litewskiego! Niewątpliwie, z biegiem lat wygasła nasza kultura. Ale przecież my jeszcze jesteśmy tutaj, rozpoczęliśmy od nowa, przecież niejeden mówi w Wilnie po litewsku, a wielu przyznających się do polskości ma co najmniej sporo krwi litewskiej w żyłach. Przyzna więc pan, że Wilno jest właściwie litewskim miastem, a przynajmniej takim w przyszłości być musi.« Mogłem na to tylko tyle odpowiedzieć, że, »jeśli pan te rzeczy tak ujmuje, to wówczas ma pan słuszność.« Mogło się łatwo zdarzyć, że następnego dnia zetknąłem się z białoruskim księdzem, sprawującym tam swój skromny urząd. Mawiał mi on, że przede wszystkim należy badać dawne dzieje. Wielko-litewskie państwo opierało się właściwie na Białorusi. Istnieją jeszcze białoruskie koła, które są świadome swej wielkiej przeszłości dziejowej. Nie należy ich nie doceniać, gdyż odznaczają się one wybitnymi zdolnościami. W Wilnie tkwimy właściwie na białoruskiej ziemi. Biskup wileński jest skądinąd z pochodzenia Białorusinem i dokłada starań, aby przyswoić sobie swoją właściwą mowę ojczystą. Na to z kolei cóż mogłem odpowiedzieć innego, jak: »Oczywiście, jeśli pan te rzeczy tak ujmuje, wówczas ma pan słuszność.« Przypadkiem spotkałem wtedy pewnego rabina, który lubiał wciągać mię w rozmowę, aby z bogatego skarbu swoich legend rozsnuwać przede mną blaski iście salomonowej mądrości. Była to postać głęboko religijna i niemal natchniona. Opowiadał mi o biedzie wileńskich Żydów, stanowiących przeważnie najuboższy odłam ludności.

Dlaczego te wszystkie wspomnienia? Oto

Rozkaz Dowódcy DSP

Po przekroczeniu granicy szwajcarskiej 1940 roku

W związku z właśnie minioną trzecią rocznicą naszego wejścia w granice Szwajcarii, przytaczamy historyczny już dzisiaj rozkaz dowódcy DSP. Od siebie dodajemy, jak dalece druga część tego rozkazu nadal odpowiada nakazom chwili obecnej.

W dniach 19—20 czerwca oddziały Dywizji Strzelców Pieszych — zgodnie z rozkazem Naczelnego Wodza — przekroczyły granice gościnnej ziemi szwajcarskiej.

W ciągu ostatnich kilku dni walk, w których osłanialiśmy wycofanie oddziałów francuskich, powstrzymując napór dwóch dywizji niemieckich, wykazaliście — żołnierze — swój hart, odwagę i siłę.

Za pracę dokonaną w ciężkim okresie organizacji i wyszkolenia dywizji, za poniesione trudy i otrzymane rany na polu bitwy, za odwagę i dzielność w obliczu nieprzyjaciela, dziękuję Wam w imieniu służby, w imieniu naszej wielkiej sprawy i w imieniu Naczelnego Wodza.

Znaleźliśmy się wśród Szwajcarów, którzy, zachowując w obecnym konflikcie jak najściślejszą neutralność, kochają swą wolność tak samo, jak i my.

Wśród obcych, gdzie oczy wszystkich są na nas zwrócone, winniśmy zawsze pamiętać, że nosimy zaszczytny mundur polski, symbol bohaterstwa i poświęcenia, mundur skrwawiony na polu walki, którego nie wolno nam splamić.

Wojna nie jest jeszcze skończona. Naczelny Wódz i część oddziałów polskich znajdują się w Wielkiej Brytanii, gdzie u boku Anglików walczyć będą dalej.

Bez względu na to, że znajdujemy się na ziemi obcej, jesteśmy nadal żołnierzami Rzeczypospolitej Polskiej i obowiązują nas nadal przepisy karności i dyscypliny.

Dowódca Dywizji

PRUGAR-KETLING gen. bryg.

wynika z nich jasno, że układ stosunków w tych obszarach granicznych jest trudny i złożony, że przypomina on zarzewie pod cienką warstewką popiołu, które najmniejszy powiew wiatru może rozdmuchać w gwałtowny płomień, że jednak — z drugiej strony — stosunki te istnieją i układają się od wielu stuleci, że nie ma w nich już dzisiaj żadnych nowych okoliczności usposabiających do zadraźnień, że jednak stanowią one sposobne podłoże do wszelkiej propagandy. Ludzie w tych stronach wiedzą o tym dobrze, miewają wprawdzie swoje zwady, ale szybko godzą się między sobą i to wszystko nie jest tak groźne, jak wygląda, jeśli tylko nie wmiesza się w to obcy. Polacy z tych stron robili na mnie zawsze wrażenie ludzi spokojnych, którzy dalecy są od wszelkiego zacietrzewienia w sprawach narodowych. Oczywiście, byli pomiędzy nimi również krzykacze, którzy czekali tylko na sposobną chwilę, ale na ogół niemal wszyscy pragnęli szczerze porozumienia. Również Piłsudski, którego potem poznałem w Warszawie, był człowiekiem spokojnym, mądrym i powściągliwym, lubił on poza tym mówić o Wilnie, swoim mieście ojczystym, a można z nim było całkiem otwarcie rozmawiać o wszystkich związanych z tym miastem trudnościach. Te moje osobiste doświadczenia, uzupełnione następnie w Krakowie, Warszawie, Katowicach, dają mi pewność, że te chwilowo tak zaostrzone zagadnienia wschodniej Europy mogą być przez dalekowzrocznych i nie pozbawionych dobrej woli mężów stanu rozwiązane pomyślnie, jakkolwiek z pewnej odległości wydają się one podobne do kwadratury koła.

To, co w obecnym położeniu stanowi zarówno dla wschodniej jak i dla zachodniej Europy zagadnienie najistotniejsze, dotyczy to właściwie tylko jednej rzeczy. Pragnąłbym ją wydobyć na jaw z całego splotu okoliczności, które w tym względzie wynikają zarówno ze zdarzeń na polach walk, jak i z pewnych zjawisk, które rozgrywają się przed zachowaniem lub za kulisami współczesnosei. Pragnąłbym to uczynić z wszelkiej ostrożności, gdyż zdarza się zbyt często, że zamierzenia o najczystszej polityczno-kulturalnej treści są wykorzystywane i nadużywane dle celów cynicznej propagandy. W tej godzinie europejskich zmagań o lepszą przyszłość jest nad wyraz ważnym, aby właśnie europejskie posłannictwo Polski było w pełni i bez zastrzeżeń w tej dziedzinie uznane. Naród polski, który przeżywa tak straszne cierpienia, który posiada wrogów, pragnących wyzuć go nawet z pierwiastków kulturalnego bytu przez wytępienie jego kierujących warstw, przede wszystkim uczonych i duchowieństwa, zasługuje w pełni na nasze współczucie. To współczucie będzie mógł naród polski kiedyś odwzajemnić, a mianowicie przez swój udział w wysiłkach duchowych Europy, udział, którego tylko ten naród może się podjąć. Swoim dziejom i swojemu położeniu geograficznemu zawdzięcza naród polski posłannictwo, polegające na roli strażnika i pośrednika na wielkiej granicy dwóch kultur. Naród polski jest świadom tego posłannictwa, a świadomość ta sięga w głąb nawet najniższych warstw społecznych. Należy to nieco wyjaśnić.

Jakkolwiek mówimy o europejskiej Rosji, to jednak granice Azji rozpoczynają się na wschodnich rubieżach Polski. A Azja jest czymś różnym od Europy. Jest czymś różnym już choćby dlatego, że dojrzewa w niej o wiele poźniej świadomość istotnych pierwiastków kultury. Jej rozwój dziejowy jest inaczej uwarstwiony niż u nas. Następnie wszystko odbywa się tam w innym rytmie. Rosja jest wielka, niezmiernie wielka. I Rosja ma czas, ma niezmiernie wiele czasu. Jest to rytm w większych niż nasze wymiarach, morze o olbrzymiej fali, która w naszej ciasnocie nie mogło by się było zmieścić. Bezpośrednie zetknięcie się ducha zachodniego z szeroką naturą rosyjską nie układa się harmonijnie. Istota tej natury rozkłada i niweczy nasz świat, narzuca mu się ona jako obce, ogromne zjawisko, obojętne, czy będzie to Dostojewski czy Lenin. Może ono wnieść do naszego życia coś nowego, może nami wstrząsnąć, ale czuwać musi nad nim strażnik i pośrednik. Strażnik wypełnia swoje zadanie, gdy stoi niewzruszenie na granicy swej zwartej, jednolitej kultury Zachodu. Polska zalicza się do kręgu tej zachodniej kultury, należy do obrządku rzymskiego, a to oznacza więcej, niż pewne zjawiska tylko zewnętrzne. Polska pozostała krajem katolickim o najistotniejszej wspólnocie kultury z Zachodem. Z drugiej strony Polak jest Słowianinem. Cudownie miękie są jego rzewne pieśni maryjne. Ten naród wyżywa się całkowicie w swojej religii. Narodowe i religijne pierwiastki zrosły się w nim w nierozerwalną całość. Ma on pewne powinowactwo z duszą rosyjską, lecz z drugiej strony utożsamia się z najistotniejszymi znamionami zachodniego światopoglądu i cywilizacyjnego dorobku. Moglibyśmy te cechy wykazać na przykładzie Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i innych, ale któż z nas zna właściwie polską literaturę, której głównych przedstawicieli tak serdecznie witał ongiś w rodzinie europejskich pisarzy Goethe? Może ktoś powie, że Polak nie jest w stanie wykazać tyle poczucia ładu, ile jest konieczne do utworzenia trwałego organizmu państwowego, czego dowody dał zresztą w okresie rozbiorów lnb w wewnętrznym rozdarciu swoich sejmów. Na to chciałbym po prostu odpowiedzieć to, co mi ongiś opowiadał pewien wyższy polski urzędnik, pochodzący z pruskiej szkoły. Wskazał mi na trudności, które Polska miała do pokonania. Na to, czego nowo-powstała Polska musiała dokazać. Część kraju żyła przez długie lata pod panowaniem rosyjskim, inna pod austriackim,

---

Z cyklu »Sylwetki«

SZYBKI

— Nie idź tędy, tylko pod kościołem, bo tu niebezpiecznie...

— Kiedy przeskoczę, jestem przecież szybki...

Nie przezkoczył. Odłamek szrapnelu przetrącił mu kolano. Na nawierzchnię asfaltowej drogi francuskiej, biegnącej tuż nad granicą szwajcarską, spłynęło trochę polskiej krwi. Ani jęknął, gdy prowizoryczny opatrunek zakładał mu dowódca jego plutonu, ten sam, rozczochrany i brudny od kilku dni, jak wszyscy, porucznik, który go uprzedzał przed chwilą, że »tu niebezpiecznie«.

Dzieje rannych w odwrocie, to dzieje wozu sanitarnego.

Będzie? jeszcze wolne miejsce, czy nie? Zabiorą czy pozostawią? Nawalą opony czy kierowca, zbombardują lub się zagubią w drodze — wszystko to składa się na »szczęście« rannych, rozlokowanych w wozie i podążających — jak ci, którzy jeszcze walczą — z dnia w noc i z nocy w nowy dzień bezkresnej wędrówki do jakichś celów, które zakreśla czerwienią na wielkiej mapie sztabowej jakaś znana tylko nielicznym wtajemniczonym ręka.

jeszcze inna pod pruskim. Jeśli jechało się z Krakowa do Warszawy, a stamtąd do Wilna, z Wilna zaś do Poznania, to można było sądzić, że za każdym razem przekraczało się krąg jakiejś innej kultury. Do tego dołączają się jeszcze, jak zresztą wszędzie na wschodzie, nierozwiązane zagadnienia ustroju rolnego, zatargi z robotnikiem pracującym w przemyśle i wiele innych rzeczy. Mimo to dokonała Polska bardzo wiele i przez długi czas była dostatecznie silna, aby uchować swoją niepodległość i zapewnić pokój na wschodzie i zachodzie. Mimo długich lat niewoli naród polski jest zdolny do utworzenia rządnego państwa i do kierowania swymi sprawami, a że Polak jest świetnym żołnierzem, tego dowiódł nie tylko Sobieski pod Wiedniem.

Europa nie jest ziemią, na której można się rządzić bez uwzględniania jej dziejowego rozwoju i wynikających stąd odrębnych właściwości poszczególnych narodów. Mamy na myśli tę Europę, która bodaj że z niezbyt wielką czcią i skwapliwością uznaje w pierwiastkach chrześcijańskiej kultury spuściznę po swych przodkach i pierwszą oznakę rozkwitu kultury w ogóle. Podczas gdy — jeśli wolno nam na tę okoliczność przytoczyć amerykańskiego wiceprezydenta Wallace'a jako jednego z ostatnich świadków — również dzisiaj istnieje krąg chrześcijańskiej kultury, której rdzeniem jest Europa, a której utrzymanie stanowi istotę naszego posłannictwa. Jest to ten krąg kultury, który swój szczyt osiąga w rozwoju wolnej i wyraźnej osobowości. Ani biologiczny ani socjologiczny kolektywizm nie mogą nam tu odpowiadać, a kto pragnie wysunąć go jako czołowe hasło, ten niweczy podstawy, z których wynikają nasze prawo i duma bycia Europejczykiem. Polska miała zawsze wiele zmysłu dla tej europejskości i jeszcze dzisiaj przemawiają do naszej wyobraźni tym samym językiem tzw. »Polenlieder«, pełne zapału i uniesienia dla sprawy wolności. Każdy naród ma swe zalety i wady, również i polski; ale żaden inny nie okupił swoich słabości tak drogo, jak ten naród największego w dobie dzisiejszej męczeństwa.



W piaskach afrykańskich

Atak, którym się rozpoczęła ostatnia wielka bitwa w Afryce, miał na celu otworzenie wolnych przejść przez pola minowe, przygotowane przez Niemców. Powodzenie zależało od tego przedsięwzięcia. Niektóre z tych min są przeciwczołgowe i wybuchają pod ciężarem około 120 kg, podczas gdy inne wybuchają pod ciężarem człowieka. Pola minowe są różnych rozmiarów: 100 do 300 m, a czasem dużo większe. Nie rozciągają się ciągłymi liniami, lecz są rozproszone i ułożone długimi pasami.

Atakując pole minowe, nie chodzi o to, by oczyścić całą przestrzeń, lecz aby otworzyć ściśle określone przejście. Twierdzono, iż dłuższym i gęstym ogniem artyleryjskim można prawie całkowicie zniszczyć pole minowe. Mówiono, iż przy zdobywaniu Tobruku bombowce osi zdołały w ten sposób zniweczyć większą część min angielskich. Lecz Anglicy stosują system wnikania piechoty i saperów. Piechota idzie pierwsza, aby stawić czoło broni maszynowej nieprzyjaciela, za nią zaś posuwają się saperzy, którzy wykrywają miny i wygrzebują je z piasku. Miny te są później gromadzone i zaopatrywane w zapalnik, który przy pomocy prądu elektrycznego powoduje ich wybuch. Brzegi w ten sposób oczyszczonego przejścia są wyraźnie oznaczone, aby czołgi mogły przejść na drugą stronę pola, gdzie zajmują pozycje obronne, ułatwiając przejście piechocie.

Nieprzyjaciel podejmuje wówczas zazwyczaj przeciwdziałanie. Jeśli zostanie odparty, walka nie będzie zażarta. Pościg jest utrzymywany przez kolumny czołgów i armatek ppanc. Czołgi nawiązują styczność bojową. Piechota zajmuje górujące pozyc-

---

Tym razem mapy sztabowe i droga sanitarki skończyły się niebawem.

W jakimś małomiasteczkowym szpitalu cywilnym, na wolnym, świecącym się bielą łóżku, złożono wymizerowane, pokaleczone ciało. Kolano krwawiło i dokuczało, jak gdyby wbijano w nie długie, pogięte igły — aż na czole skraplał się pot.

Potem jakoś wszystko się ułożyło. Jak to na internowaniu. Nawet kolano.

Że noga była krótsza? Że na razie mówiono o protezie? Że nie wiadomo było, co ze sobą zrobić?

Do wszystkiego można się przyzwyczaić. Nawet do krótszej nogi.

Którejś niedzieli wyszedł po raz pierwszy do ogrodu. Trochę kwiatów radowało się czerwcowym słońcem. Wtedy zdał sobie sprawę, że przecież minął już rok, jak sanitarka wywiozła go z Francji. Na bladą twarz legł smutny uśmiech człowieka, który jest sam. Daleko od swoich i jeszcze dalej od — choć serdecznych i gościnnych — obcych. I tęsknota za światem swoich najbliższych tak nagle chwyciła go za gardło, że rozpłakał się jak dziecko, tuląc zmizerowaną, jasną twarz do leżaka, nad którym zakwitał życiem nowego lata sędziwy kasztan.



Kasztan nie zlitował się jednak nad człowiekiem. Drzewa bowiem przemawiają tylko do poetów. Proza życia chciała inaczej: właśnie nadeszła pielęgniarka ze śniadaniem. Początkowo widocznie zakłopotały ją serdecznie łzy tego dużego mężczyzny, bo nie bardzo wiedziała, co zrobić ze śniadaniem i ze sobą, potem jednak serce kobiece podszepnęło jej prawdopodobnie, co ma czynić, bo znalazła się przy leżaku i jęła pocieszać płaczącego.

— Przecież na świecie jest tak cudnie i pan jest już zdrów! Pojedzie pan niebawem do swoich, do kompanii. Będzie tam dobrze. Będziecie razem oczekiwali na szczęśliwy powrót...

Nie tknął tego dnia śniadania. Pielęgniarka już dawno odeszła, skulona pod czernią habitu zakonnicy. Na świecie było lato. Wojna dla ludzi z przetrąconymi kolanami była skończona. Trzeba czekać, aż skończy się również dla tych, którzy jeszcze są zdrowi i cali. Aż można będzie wrócić...

Nazajutrz przyszedł list. Zbiorowy, upstrzony kleksami, plamami tłuszczu i podpisami. Koledzy z kompanii pisali o tym, że siedzą gdzieś w górach, że ciężko pracują, że ten i ów pyskuje na długie

je, których wróg nie zdołał utrzymać. Ażeby je z powrotem odebrać, szykuje on swe czołgi, dając tym samym naszej broni pancernej skuteczną sposobność uderzania nań na jego nowych stanowiskach.

Zobaczmy teraz, jaka jest w tych warunkach praca dowódcy czołgu. Jeśli jesteście wzmocnieni piechotą, macie obowiązek zdania sobie sprawy z tego, co czyni piechota, która towarzyszy waszej jednostce, i zawiadomienia o tym waszych dowódców. Gdy czołgi są zgrupowane, piechota znajduje się na podstawie wyjściowej.

Saperzy niszczą zasieki torpedami Bangalore. Z drugiej strony zasieków karabiny maszynowe zaczynają strzelać, wybuchają granaty ręczne, pociski smugowe przelatują nad polem walki, gdzie piechota dobiera się do gniazd oporu przeciwnika. Ponad tym wszystkim wybuchają ognie zaporowe. Tuż przed świtem błyskawice ognia artyleryjskiego oświetlają uszeregowane frontem do nieprzyjaciela czołgi, gotowe do przebycia przejścia poprzez pole minowe. Dowódca jest zapewne na zewnątrz czołgu przy dowódcy piechoty. Kule k.m. trzaskają o pancerz czołgu, każdy patrzy na zegarek. Jeszcze tylko dwie lub trzy minuty. Wspinacie się do swego czołgu, nakładacie słuchawki i, wychylając się z wieżyczki, patrzycie na zegarek. Dwie minuty, jedna... zero!



Torowanie drogi wśród min

Piechota już przebywa zasieki. Czas ruszyć. Rozkazujecie oddziałowi językiem tajnym: »Naprzód!« Dowódca wchodzi i czołg rusza. Oddział odpowiada: »W porządku, jazda!« Wkrótce ostrzeliwujecie pole minowe z oczyszczonego przejścia. I podczas gdy posuwacie się naprzód, deszcz granatów pada dokoła. Gdy spotykacie rów przeciwczołgowy, wóz trzęsie przy przekraczaniu. W miarę posuwania się w polu minowym, widzicie lepiej punkty, z których baterie i km strzelają do was.

Jako dowódca grupy, zostawiliście przypuszczalnie swemu strzelcowi wolną wolę, aby strzelał, do czego będzie chciał. Dosięgnie on może któregoś ze stanowisk, kierujących ogień na was. Posuwając się wzdłuż oczyszczonego przejścia, kolumna wasza chwieje się w prawo i w lewo. Pójdzie przypuszczalnie dwiema kolejnymi falami — piechota przy drugiej. Pierwsza, postępując z pełną szybkością, ostrzeliwuje wybrany cel, radząc sobie w miarę możności z armatkami ppanc. i gniazdami km. Należy dojść do miejsc, które chroniły by od ciężkich ciosów artylerii nieprzyjaciela. Druga fala czołgów posuwa się 100 m przed piechotą, nacierając na wszystkie przeszkody, spotykane w drodze.

Nagle wnętrze naszego czołgu napełnia się iskrami i na chwilę musicie zamknąć oczy: czołg wasz został trafiony pociskiem km o dużym kalibrze.

Strzelec wasz powie: »Widzę drania!« i po stu obrotach kół czołg wasz zmusza km do milczenia... Wpadacie teraz na armatkę ppancerną, strzelającą z boku. Do waszych uszu odbiornik woła od dowódcy: »Walić w prawo!« Kierowca skręca w prawo. Dojeżdżacie do armatki ppanc., która zostaje załatwiona. Widzi się ludzi biegających tu i tam. Jeśli podnoszą ręce, zostawcie ich piechocie. Jeśli uciekają — kropcie po nich. Szkła peryskopu pokrywają się mgiełką: ocieracie je brudną chustką i patrzycie, czy wasza piechota przybywa. Zdaje się, że tak, lecz aby to sprawdzić wołacie przez radio oficera łącznikowego i dowódcę piechoty.

W tej właśnie chwili widzicie, że wasza fala czołowa jest w trudnościach. Mkniecie z pomocą wraz z piechotą, która także szybko nadchodzi. Paru nieprzyjaciół nie podnosi rąk; ci dostają bagnetem lub kulą, reszta zostaje odprowadzona do tyłu. Piechota szybko umacnia zdobytą pozycję, oficer zaś łącznikowy, który przybył specjalnym czołgiem, przedsiębierze wszelkie środki zapobiegawcze przed przeciwuderzeniem. Dowódca czołgów wyskakuje ze swej maszyny, aby dowiedzieć się, czy można być zadowolonym z osiągniętych wyników. Nieprzyjaciel wie, iż stracił to stanowisko, wobec tego granaty zaczynają gęsto padać wokoło. Jeśli mieliście szczęście, mogliście byli zarobić nowe lornetki lub nawet — rzadką zdobycz — aparat Leica. Dajecie rozkaz oddziałowi powrócić do tyłu i dołączyć do dywizji pancernej w obozie. Jeśli czołg lub dwa zostały trafione, rannych opatruje się tymczasowo i odsyła do tyłu, uszkodzone zaś wozy bojowe są, jeśli to możliwe, holowane. Powracacie pod opieką jednej lub dwu kolumn i przygotowujecie się do odparcia kontrataku. Jeśli go nie ma, pójdziecie przypuszczalnie na mały odpoczynek.

»czekanie«, że — wreszcie — spodziewają się go lada dzień w obozie, gdzie mu na pewno będzie z nami raźniej.

Istotnie, niebawem, zaopatrzony w protezę, odjechał. Na dworzec odprowadziło go z pół personelu szpitalnego. Chlebak miał wypchany różnymi specjałami, a serce — życzliwością i serdecznością tych przygodnych szwajcarskich opiekunów. Na dalekiej górskiej stacyjce, gdzie wysiadał, oczekiwał już wóz, zaprzężony w zgodną parę, składającą się z krowy i muła. Powitano go gromkim »serwus« i gradem pytań. Przed baraki zajechano z muzyką i hałasem. Leże miał już przygotowane. Trzeba się było jeszcze przywitać z porucznikiem, który od kilku dni leżał chory na kwaterze w jakiejś pobliskiej chacie.

Wszedł raźno. Uścisnął serdecznie wyciągniętą rękę i usiadł na skraju łóżka.

Zapadł zmierzch. Gęsty i chłodny.

— Jak noga?

— Jakoś...

— Trzeba wytrzymać. Swojeś już odchodził. W niedzielę idziemy do pobliskiego kościoła. Będzie generał. Dostajesz Krzyż Walecznych...

Żachnął się.

— Nie za tę nogę, nie! Za to żeś szybki.

Zaległo milczenie.

— Pamiętasz — podjął po chwili milczenia porucznik — Wilno? Byłeś najszybszy, gdyśmy gonili na Trzykrzyską. Ech, były czasy! Przecież na uniwerku też byłeś »szybki«, bo ta Marylka, to właściwie mnie się należała...

— Wywieźli...

— Wiem. Moją Kryśkę też. Na roboty.

— A dzieci?

W poprzek drogi...



O trzeciej z minutami maszyny szły w górę z gorączkowym pośpiechem. Od nas latało wszystko, co tylko miało szkrzydła. Mniej więcej dokładnie wiedzieliśmy, o co chodzi. Wszystkich opanowała jakaś, można określić — gorączka sportowa. Doścignąć, zniszczyć... Jakaś emocja gry, gry większej niźli stawka, jaką się do niej rzuca.

Poczciwe Wellingtony zdawały się tak samo, jak i my, być przejęte. I co się dziwić? Taka okazja trafia się bardzo rzadko, raz może na dziesiątki lat. Trafić jeden z tych wrażych pancerników, płynących z portu francuskiego na północ, Kanałem La Manche... Myśląc o tym, człowiek po prostu widzi twarze wrogów, wściekłe i zrozpaczone.

Prędzej!... prędzej!...

Silniki ryczą całą mocą, ale wszystkim się zdaje, że lecimy — jak żółwie. Wybrzeże angielskie już dawno straciliśmy z oczu. Pułap piekielnie niski, lecz mówi się — trudno. Jest rozkaz: bombardować z najmniejszej wysokości.

Nawigator uzgadnia i rozmawia z pilotem. Będziemy do »nich« mieli ze dwie godziny drogi. Żeby tak okręty angielskie przecięły im drogę i wstrzymały czas jakiś! Lecimy w chmurach, jak w wacie.

Czas się straszliwie dłuży. Wprost mimo woli ogląda się za zegarkiem. Czy aby nie uciekli? Mają być niedaleko holenderskich wybrzeży. No, chyba już niedługo! W przybliżeniu uzgadniamy, co będziemy robić we wszystkich możliwych wypadkach. Rzecz dziwna, że wszyscy mamy ochotę polować na »Gneisenau«.

Przedni strzelec sygnalizuje widoczne z dala błyski. No, już za moment znajdziemy się w ogniu. Dresz przechodzi przez ciało. Ma się uczucie myśliwca, który wyszedł polować na »grubą zwierzynę« i ona już wychodzi...

Zapominamy o wszystkim, nawet o tym, że możemy się w chmurze wpakować na inną maszynę. Gwałtownie nurkujemy. Zegary rozpoczynają swój szaleńczy taniec. Pęd wciska wprost w siedzenie. Chwila zamroczenia i ukazuje się morze, na nim zaś sylwetki okrętów, wokół których fontanny wody wylatują ku niebu.

Niebawem wszystko ginie. Artyleria nieprzyjacielska, widząc nas pikujących, rozpoczyna potworny, huraganowy ogień, przesłaniający wszystko. Jesteśmy otoczeni ognistymi pociskami, pękającymi z lewej, z prawej, nad i pod nami. Rwą się na wszystkie strony. Migają nieustannie. Dajemy nurka z powrotem w chmurę, aby wyjść w innym miejscu, możliwie wprost na okręt. Wellington, zamieniony w akrobacyjną moszynę, drze się posłusznie w młyńcach, unikając trafienia. Woal chmur zakrywa nas przed okiem artylerii,

Czas jakiś krążymy, a potem dajemy nura w dół. I znów ma się wrażenie, że cała artyleria strzela jedynie do nas. To już nie lecą pociski, całe sznury szrapneli. Przez ułamek sekundy widzę, jak najbliższy nam okręt gwałtownie zamienia kierunek, słyszę jakby zzaściany głos obserwatora: »Bomby« --- i znowu wszystko rozpływa się w nicość.

Jeszcze jeden nawrót i znów szaleńczy nur. Psiakrew! Ten niski pułap! Z chmury nic nie widać, tłucze się na ślepo, a gdy tylko zejść na gół, to artyleria przez chwilę nie daje spokoju.

Wypadamy wprost na ogień, lecący ku nam z dołu, i rzucamy ostatnie bomby. Rezultatu nie widać, jak w ogóle — nic zresztą. W ostatnim nawrocie już osłonięci mgiełką widzimy rwące ku nam sylwetki Messerschmittów.

Trzeba wracać do domu.

Wściekłość po prostu ogarnia nas na myśl, że nie mamy pojęcia, czy coś tam naszymi bombami zostało trafione. Nastrój przygnębienia. Nic prawie nie mówimy. »Operation« coś śpiewa. Myślę, że »Gneisenau« jest tylko w sferze marzeń i to marzeń niedoścignionych.

Podszedłszy nieco w górę, widzimy przez »dziurę« w chmurze długi sznur Messerschmittów. Zapada znowu milczenie, przerwane głosem strzelca:

— Gneisenau nie Gneisenau, ale jeden to dostał!

Opodal brzegów angielskich mijamy lecące ku bitwie inne maszyny.

Wład. Leny

»...Krytyka jest wtedy tylko instytucją społecznie potrzebną, gdy z niej zrodzić się może coś nowego, lepszego, aniżeli to, co było poprzednio.

Zdajemy sobie chyba jasno sprawę z tego, że my, siedząc tutaj, jak u Pana Boga za piecem i krytykując... nie robimy dobrej roboty, nie uzyskujemy nic, natomiast tracimy bardzo wiele. Tracimy własny optymizm i pogodę ducha, tracimy sympatie naszych gospodarzy... a poza tym wszystkim dajemy w ręcę propagandy (wroga — Przyp. Red. »Gońca») znakomity atut...«

Z artykułu wstępnego w nr. 32 »Polski Walczącej«

— U ciotki. Nie mają co jeść. Ani chodzą do szkoły, bo szkół nie ma dla nas, bracie. Szykują nas na tumanów, woły pociągowe. Możemy pracować lub zdychać.

— Nie doczekanie ich! Już wnet to się wszystko skończy.

— Wnet, jak wnet, ale się skończy. Tylko trzeba przetrzymać, jeszcze wiele przetrzymać. Przeżyć.

Porucznik zakaszlał. Na ścianie w prostokącie okna zamigotały gwiazdy. Z pobliskich baraków doleciał śpiew.

— A ja z tą nogą...

— Powiedziałem ci, żeś już swoje odchodził. Będzie rąk potrzeba i silnego ducha. Niejeden z nas ze zdrowymi nogami jest bardziej chory od ciebie. Bo chleba ma pełną gębę, a płacze, że cierpi bardziej od tamtych, którzy tam pozostali. Zatracamy coraz bardziej wyczucie ich losu. Jest nam tutaj dobrze, więc deklamujemy i, rozumiesz, pyskujemy na wszystko i na wszystkich zamiast zacząć od siebie.

W prostokącie okna widniało coraz więcej gwiazd, głos porucznika stawał się cora słabszy, na świat opadła górska noc, zasłuchana w życie na ziemi, rozwidnionej łunami krwawej wojny.

Trzeba było się żegnać.

Na schodach przypomniał sobie, że ma krótszą nogę. Schodził więc uważnie.

Niebo gwieździło się nad głową. Owionął go chłód.

— Tak --- powtarzał w duchu --- będzie rąk potrzeba i silnego ducha. Dla Marylki i dla nich wszystkich.

I, kuśtykając do uśpionego już baraku, rozmarzył się o Wilnie.

M. Miż

NASZE SPRAWY

— Z Kairu donoszą pod datą 8 VI, że gen. Sikorski bawił w Iraku, gdzie odbył inspekcję przebywających na Średnim Wschodzie oddziałów polskich i prowadził rozmowy z dowódcą brytyjskim, sir Henry Pownall.

— W stosunku do Polski wyraźnie się zaznacza życzliwe ustosunkowanie rządów amerykańskiego i angielskiego, co znalazło ostatnio wyraz w poparciu naszego stanowiska wobec Rosji. Korespondent waszyngtoński NZZ robi na ten temat uwagę, że rząd Stanów Zjedn. skłania się ku propolskiej polityce także i dlatego, że zmusza go ku temu nacisk milionowej rzeszy wychodźstwa polskiego w USA, która, uprawniona do głosowania w nadchodzących wyborach, żąda czynnej polityki w stosunku do zagadnienia polskiego i odbudowania niepodleglej Polski.

— W wiadomości z Londynu, datowanej 30 IV br., która ukazała się w NZZ, znalazła się wzmianka o walczącej w Tunisie 334 niemieckiej dywizji piechoty, do której wchodziły jednostki o składzie polskim i słowackim. Dywizja ta walczyła na wschód od Medjez el Bab.

— Dowództwo polskiego lotnictwa donosi, że nasze eskadry myśliwskie w Tunisie strąciły między 17 marca, a z końcem kwietnia 23 samoloty Osi, tracąc tylko jedną polską maszynę.

— 22 II w Szkocji otwarto piąty kolejny kurs Szkoły Podchorążych piechoty i kawalerii zmotoryzowanej.

— 20 II polskie dywizjony bombowe bombardowały Wilhelmshaven. Jedna załoga polska musiała wodować, lecz została wyratowana. 27 II polskie dywizjony bombowe bombardowały Kolonię, a w nocy z 28 II na 1 III — St. Nazaire. Wszystkie załogi powróciły. 2 III bombardowano Hamburg. Wszystkie załogi powróciły do baz. Z tego zestawienia widać, że nasze lotnictwo jest bardzo czynne, niestety, jednak nie zawsze wszyscy powracają na swe lotniska...

— 27 V w parlamencie angielskim zasypali niektórzy posłowie ministra spr. zagr. Edena zapytaniami o powoływaniu do służby w wojsku polskim Polaków na obszarze W. Brytanii. Jeden z posłów nawet zapytał, czy ci Polacy nie mają prawa służyć w wojsku brytyjskim, o ile sobie tego życzą? Na to odpowiadał min. Eden, że według prawa rząd polski uprawniony był do powoływania obywateli polskich, że także w czasie pokojowym państwo mogło wzywać do służby wojskowej obywateli, przebywających za granicą w krajach zaprzyjaźnionych. W rozprawach na ten temat się okazało, że narody Sprzymierzone nie mają prawa dokonywać poboru swych obywateli na obszarze W. Brytanii i że ci z nich, którzy nie zadośćuczynią wezwaniu swego rządu, muszą odbywać służbę w wojsku brytyjskim. Ustawa ta uzyskała moc prawną i od 1 VI także obywatele polscy mogą, o ile tego sobie życzą, pełnić służbę w szeregach angielskich. Nie ulega wątpliwości, że tego rodzaju debatę w parlamencie spowodowali obywatele polscy z mniejszości narodowych, którzy wolą pełnić służbę w wojsku brytyjskim.

— W pierwszej połowie maja przybył do Stanów Zjedn. prezydent Czechosłowacji Benesz i 13 V udzielił przedstawicielom prasy wywiadu, w którym oświadczył, że nie ma zamiaru pośredniczyć w zatargu polsko-sowieckim, nie ma też mowy o przesiedleniu rządu czeskosłowackiego do Moskwy, gdzie tworzy się specjalna brygada czeskosłowacka, mająca walczyć po stronie wojska czerwonego. Benesz podobno przyjechał do Ameryki z planem stworzenia sojuszu wschodnio-europejskiego, przewidującego m. in. także porozumienie polsko-rosyjskie. Gen. Sikorski plan ten podobno pochwala. Mówi się o tym, że te plany przyjęte zostały w Waszyngtonie dość chłodno, gdyż tego rodzaju związek państw wschodnio-europejskich musiałby pozostawać pod nader silnym wpływem Rosji, przy czym Czechosłowacja, z dawna ciążąca ku temu kolosowi, odgrywałaby rolę prawej ręki Sowietów. Stany Zjedn. są zdania, że mogą pertraktować z zainteresowanymi państwami same, bez pośrednictwa Benesza. W każdym razie poseł Czechosłowacji w Londynie, H. Ripka, oświadczył 19 V, że rokowania polsko-czeskie o ustalenie podstaw federacji polsko-czeskiej (o czym obszernie pisaliśmy w »Gońcu« nr 40 z 15 IV 42) zostały przejściowo przerwane ze względu na obecne napięcie polsko-sowieckie. Po prostu Czechosłowacja nie chce się narażać... Poza tym wysunięto ze strony ponownie sprawę rdzennie polskiego Zaolzia. I jeszcze jedno: Czechosłowacja za swego najgorszego po Niemcach wroga uważa Węgry, podczas gdy my ani jesteśmy z Węgrami w wojnie, ani nie możemy ich ustosunkowaniu do nas niczego zarzucić. Oświadczenie Ripki było dla kół politycznych w Londynie nielada niespodzianką.

— Na początku obecnej wojny ilość Niemców w Łodzi stanowiła, według »Hamburger Fremdenblatt«, 105,000, Żydów — 220,000 i 400,000 Polaków. Już 1 VI 42 ilość Niemców wzrosła do 131,000 przy równoczesnym nieznacznym spadku ludności polskiej do 350,000. Ilość Żydów nie jest znana.

WIADOMOŚCI Z FRANCJI

— Bombardowanie pociągów i urządzeń kolejowych przez lotnictwo Sprzymierzonych powoduje coraz liczniejsze spóźnienia w ruchu kolejowym, specjalnie w strefie północnej. System transportowy stał się tak kruchym, że dalsze jego osłabienie może pociągnąć za sobą jak najcięższe skutki. Zatamowanie komunikacji, nawet krótkie, wywołuje z zasady ostry kryzys w miastach, ogołoconych z wszelkich zapasów żywności.

— Rekwizycje żywności we Francji koncentrują się na razie na mięsie: co miesiąc musi być dostarczone 30,000 ton. Także wzmogły się dostawy tytoniu. Przed wojną Francja konsumowała rocznie 60,000 ton tytoniu, z czego połowa była importowana, obecnie musi dostarczyć 10,000 ton władzom okupacyjnym, 4,000 na rzecz swych jeńców w Niemczech, poza tym 4,000 ton od francusko-flandryjskiej i 6,000 ton od alzackiej produkcji tej używki.

— Dziennik »Die Tat« z dnia 11. czerwca pisze: Korespondent berliński szkedzkiego dziennika »Sven-



Powszechnie wiadomo, że od chwili zakończenia działań w Tunisie RAF przygotowuje się do najazdu na Europę, decydującego uderzenia dokonać bowiem mają połączone siły lądowe, morskie i powietrzne, przy czym RAF i lotnictwo amerykańskie grać będą szczególną rolę.

W chwili uderzenia na »twierdzę europejską« większość eskadr użyta będzie do bezpośredniej ochrony i do wsparcia armii lądowych. Dotychczasowe bombardowania wspierały flotę w walce przeciw bazom i stoczniom okrętów podwodnych wzgl. wspierały armie przez niszczenie ważnych urządzeń wojskowych i węzłów komunikacyjnych. Wszystko to wiązało się z działaniami »na długą metę«. W chwili inwazji lotnictwo uderzy z całą siłą na bezpośrednie cele, spełniając poczwórne zadanie:

1) Odosobnienie strefy działań dla uniemożliwienia wrogowi dowozu posiłków i zaopatrzenia,
2) Unieruchomienie lotnisk i portów Osi,
3) Zdobycie i utrzymanie przewagi powietrznej nad obszarem walk,
4) Wkraczanie z powietrza do działań lądowych i morskich, przy czym myśliwce, »latająca artyleria«, bombowce i wszelkie inne eskadry użyte będą do szczególnych zadań.

Powyższe zasady zastosował w Tunisie generał lotnictwa Tedder i zebrane w ten sposób doświadczenia wykorzystuje się od kilku tygodni w W. Brytanii w ćwiczeniach przeciw modelom, które odpowiadają poszczególnym odcinkom »twierdzy europejskiej«. Różnorodność szkolenia lotników jest zdumiewająca, a wszystko służy temu, by uniknąć technicznych przeszkód podczas działań, które w chwili największego natężenia nie mogą doznać żadnych przerw ani zacięć.

Powszechnym błędem jest mniemanie, że lotniska można łatwo zniszczyć, gdy tymczasem jest to jednym z najtrudniejszych zadań. Doświadczenia wykazały, że mimo najlepszych bambardowań lotnisko jest najwyżej 15 minut nie do użycia i dlatego głównym celem napadów na lotniska są umieszczone na nich maszyny, stacje radiowe i hangary. Podczas działań w Afryce Północnej trzeba było bez przerwy atakować lotniska Osi, aż wreszcie straty w samolotach wpłynęły na to, że lotnictwo niemiecko-włoskie przestało zaopatrywać zagrożone lotniska w odwodowe eskadry. Alianci wiedzą, że lotnictwo niemieckie trzyma z tych powodów poważne rezerwy lotnicze na odległych lotniskach, z których działać mają w chwili rozpoczęcia się najazdu. Z tego też powodu RAF ćwiczy się w »lądowaniu«. Ma on wspólnie z marynarką założyć jak najprędzej na wybrzeżu »bazy myśliwskie«, z których jednoosobowe myśliwce prowadzić będą walkę przeciw niemieckim odwodom lotniczym.

Inwazji kontynentu towarzyszyć będzie w powietrzu lotnictwo uszeregowane w cztery warstwy. W stratosferze lecieć będą Spitfire'y jako najwyższe ubezpieczenie, niżej polecą bombowce, a pod nimi »Warhawk'i« i podobne typy samolotów. Czwarta warstwa działać będzie tuż nad ziemią i składać sie będzie z myśliwców typu Lightning i Hurricane oraz »latającej artylerii«. Ciężkie bombowce będą prawdopodobnie miały szczególnie ważne zadanie do spełnienia. Dwutonnowe bomby niszczą wszystko w promieniu 70 m; 800 takich bomb potrafi stłumić wszelki opór na obszarze 2,2 km².

Wydaje się rzeczą wysoce prawdopodobną, że przez takie użycie dynamitu starać się będzie zdobyć przyczółki »twierdzy europejskiej«. Niemcy rzuciły kiedyś twierdzenie, że »lotnictwo otwiera drzwi kontynentu«. Lotnictwo aliantów postara się o wykazanie prawdziwości tego zdania.

---

ska Dagbladet« donosi, iż stracono czterech Elzatczyków, z których trzej oskarżeni byli o gromadzenie broni do przyszłej walki.

»Die Weltwoche« z dnia 11. czerwca w artykule »Ciężkie czasy niemieckiej propagandy«, opisując jej niepowodzenie na terenie Alzacji, tak mówi o listach, jakie wydawca jednego z wielkich dzienników strasburskich otrzymuje od Alzatczyków: »Przemawia z nich przykra, zaprawiona goryczą nienawiść; jeden z czytelnków tak naprzykład pisze: »Gdyby nawet wreszcie angielskie bomby miały nas zbombardować w Strasburgu, to i tak nasza nadzieja nie będzie zniszczona, gdyż wolelibyśmy zginąć od bomby angielskiej, aniżeli bić się za was. A co się tyczy waszego hasła: — Zwycięstwo albo bolszewizm — to jeszcze wolimy ten ostatni, aniżeli wasze zwycięstwo«.

— Przysłowiony kraj wolności osobistej — Francja — przeżywa obecnie okres pańszczyźniany. Nie można bowiem bez specjalnego zezwolenia i wiarygodnego uzasadnienia porzucić albo zmienić swej pracy. Dotyczy to zarówno robotników jak i in. pracowników. Za przekroczenie groziła kara więzienia. Ponieważ jednak b. wielu wolało więzienie, aniżeli wyjazd na roboty do Niemiec, wprowadzono obecnie ustawę, że kara pozbawienia wolności może być zawieszona, a nawet całkowicie darowana, jeśli więzień przy wykonywaniu pracy, leżącej w interesie państwa, wykaże specjalne zasługi. Pobyt w więzieniu nie może zwalniać od wyjazdu na roboty do Niemiec. Wydaje się, że autorzy ustawy nie spostrzegli, iż ten wyjazd dla przeciętnego obywatela francuskiego ma być w tym ujęciu... wyższym stopniem kary. Zarządzeniem tym, co do zwalniania z więzień, dotknięci będą w pierwszym rzędzie skazani za przekroczenia w odbywaniu obowiązku pracy, za naruszenie przepisów o racjonowaniu, za uprawianie nielegalnego handlu. Rodzinom natomiast tych, którzy dobrowolnie wyjechali na roboty do Francji, wypłacana będzie tytułem zapomogi połowa zarobku, pobieranego we Francji. Skoro jednak wysyłanie robotników do Francji zaczęło przebierać olbrzymie rozmiary, świadczenia te poczęły wzrastać z szybkością lawiny. Obecnie rodziny robotników otrzymują takie same zapomogi, jak rodziny jeńców, z tym, że wysokość ich jest uzależniona od stosunków rodzinnych. Uprzewilejowani i to tylko na okres trwania kontraktu, będą tylko ci »ochotnicy«, którzy wywędrowali z Francji przed 15.XI. 42, czyli przed terminem, po którym zaczęło się przymusowe wysyłanie na roboty do Niemiec.

Ponieważ Francja w drugim kwartale r. 1943 ma dostarczyć Niemcom 220,000 robotników, ogólna liczba od r. 1941 do końca czerwca br. dostarczonych robotników wynosi 1,220.000.

Z ŻYCIA OBOZÓW

TARGI W BAZYLEI

W dn. 4 — 10 maja, dzięki przychylności Komisariatu Internowania, a przede wszystkim dzięki staraniom zawsze czynnego i pamiętającego o naszych sprawach p. dr. Jana Lagutta, 164 internowanych polskich żołnierzy uzyskało możność odwiedzenia Targów w Bazylei.

Fakt ten może mieć w przyszłości duże znaczenie. Uświadomić sobie bowiem musimy, iż z jednej strony znajdujemy się obecnie na terenie jednego z nielicznych państw europejskich, nie objętych wojną, którego produkcja, mimo ogromnych trudności w dowozie surowców, nie została zahamowana, — z drugiej zaś strony kraj nasz, ucierpiawszy ogromnie od działań wojennych, ma obecnie przemysł nastawiony przez okupanta wyłącznie na produkcję wojenną.

To zestawienie pozwala przypuszczać, iż z chwilą powrotu normalnych stosunków, Polska może być zmuszona do pokrywania tu w Szwajcarii nie tylko potrzeb dnia bieżącego, lecz także zapotrzebowania w maszynach, które w odbudowie naszego kraju bedą odgrywały ogromną rolę.

I ta właśnie myśl przyświecała organizatorom naszego wyjazdu i znalazła swój wyraz zarówno w rozmowach, jakie prowadziliśmy z naszymi goscinnymi gospodarzami z „Pro Polonia", jak i w przemówieniu, wygłoszonym do nas przez dyrektora Targów, prof. Grogle.

Wysoką wartość wyrobów przemysłu szwajcarskiego mieliśmy już możność poznać przez czas naszego pobytu na tutejszym terenie, przegląd jednak, jaki unaocznił się na samych Targach, wykazał wszechstronność tego przemysłu; każdy z nas znajdował tam coś, co go szczególnie interesowało.

Więc dział budowlany, pomieszczony w oddzielnym pawilonie, wykazał wiele nowości, a chociaż niektóre z nich narzucone zostały przez trudności wojenne, należy przypuszczać, iż przyjmą się na stałe.

Dział rolniczy cieszył się dużym zainteresowaniem wielu kolegów. Tu obok maszyn rolniczych zarówno dla większej jak i dla mniejszej własności, reprezentowany był dział hodowlany oraz zwalczania szkodników, w czym ma poważny udział wysoko postawiony tutejszy przemysł chemiczny.

Ogromny centralny pawilon w głównej mierze wypełniony był wszelkiego rodzaju maszynami. Prym wśród nich dzierżyły obrabiarki do metalu oraz motory i urządzenia elektryczne firm o światowej sławie.

W dziale obrabiarek do drzewa nie brakło też ciekawych nowości.

Należy przypomnieć raz jeszcze różne działy przemysłu chemicznego, grającego tak doniosłą rolę w dzisiejszym życiu.

Żywość zainteresowania kolegów dla tych właśnie działów, była szczególnie wielka, gdyż przed wojną w Polsce wytwórczość szwajcarska, poza zegarmistrzowską i częściowo elektryczną, była stosunkowo mało znana.

Wypływało to z tego, iż Szwajcarzy, świadomi wysokiej wartości swych wyrobów, nie narzucali się natrętnie, jak to czyniły inne kraje, wytwarzające na eksport towar wprawdzie tańszy, ale bez porównania gorszy. Dziś, poznawszy wysoką wartość szwajcarskich wytworów, możemy zapewnić naszych gospodarzy, iż na przyszłość pamiętać będziemy o tym, z czym spotykamy sie w życiu codziennym, w pracy jaką wykonujemy, jako też o tym, cośmy sobie na Targach bazylejskich zapamiętali i zanotowali.

Toteż dobrze się stało, iż władze internowania uwzględniły, w przydziale zezwoleń, głównie obozy szkolne. Młodzieńcy, którzy na tutejszym terenie znaleźli możność podjęcia na nowo studiów, a niektórzy z nich, po egzaminach, odbywają już praktyki w fabrykach, będą, bez wątpienia, najlepszymi propagatorami zbliżenia gospodarczego obu naszych krajów. *(mp)*

Z życia towarzyskiego



Kierownik literacki „Gonca" M.M.M. przebywa na urlopie

UROCZYSTOŚĆ W PFÄFFIKONIE

30 maja br. odbyło się w Pfäffikonie zakończenie Centralnego Kursu Szkoły Powszechnej. Kurs ten rozpoczął się 2/XII 1942; po sześciomiesięcznej nauce uczestnicy jego zostali dopuszczeni do państwowego egzaminu nadzwyczajnego w zakresie szkoły powszechnej trzeciego stopnia.

Duży barak spółdzielni zaledwo z trudnością mógł pomieścić obecnych na tej uroczystości. Uczestnicy kursu, zmęczeni trwajacymi poprzez cały tydzień egzaminami, ożywili się szczerą radością, gdy na salę weszli dostojni goście w osobach pp.: posła RP min. Ładosia, dowódcy dywizji gen. Prugara Ketlinga, kpt. Johannot oraz przedstawicieli sztabu DSP. Przewodniczył uroczystości nasz wypróbowany przyjaciel kpt. Johannot. Szczególną radość budziła obecność Pana Generała, który — choć dopiero co po chorobie — zaszczycił swoją obecnoscią tę uroczystość, pragnąc w ten sposób wynagrodzić swoich podkomendnych za spełnienie obowiązku obywatelskiego, jak swego czasu spełnili obowiązek żołnierski. Obecność przedstawiciela Komisariatu Internowania, dyrektora nauk z ramienia władz szwajcarskich, komendanta odcinka oraz komendanta obozu wskazywały, że i nasi gospodarze z dużem zainteresowaniem obserwują nasze poczynania w zakresie pracy kulturalnej. Oczywiście. nie brakło też naszych starych i dobrych przyjaciół z YMCA, pp. Kozłowskiego i Jones'a, którzy z takim zapałem pracują wśród naszych żołnierzy.

Elektryczna brzytwa



?!

W przemówieniu swoim Pan Generał wyraził życzenie, by uczestnicy kursu, gdy wrócą do obozów, starali się przekazać kolegom przynajmniej część zdobytej na kursie wiedzy.

Z części sprawozdawczej, podanej przez kierownika kursu, dowiedzieli się obecni, że w wyniku półrocznej pracy 96 uczniów przystąpiło do egzaminu, a spośród nich 88 otrzymało świadectwa ukończenia szkoły powszechnej trzeciego stopnia. Uczniowie-żołnierze dali w ten sposób najlepszy dowód, że cennego czasu na kursie nie zmarnowali.

Jeden z uczestników kursu w przemówieniu swoim, zapewnił:

»...Po sześciu miesiącach mozolnej pracy rozjeżdzamy się w różne strony. Chcemy Cię jednak zapewnić, Panie Generale, że nauka i doświadczenie, nie kończą się z opuszczeniem kursu. Zabierzemy je ze sobą nie tylko do naszych obozów, ale przyniesiemy je ze sobą do Polski, aby choć w małym stopniu przyczynić się do odbudowy kraju.

Po tym przemówieniu p. Generał własnoręcznie rozdał świadectwa i nagrody najlepszym i najpilniejszym uczniom. Równocześnie otrzymali oni nagrody za postępy i pilność w nauce, ufundowane przez Poselstwo RP, Pana Generala i YMCA. Podobnie jak w Matzingen, dwóch uczniów otrzymało elektryczne brzytwy, przy czym jeśli chodzi o pouczenie, co mają z nimi zrobić, odesłano ich do naszego reportażu pt. »Hajże, na... Matzingen!« („Goniec Obozowy" z 1 czerwca br.). Poza tym »deszcz« nagród w postaci „Pamiętnika Literackiego", zegarka, wiecznych piór i automatycznych ołówków spadł na absolwentów.

Piosenką żołnierską zakończono tę uroczystość.

REDAKCJA „Gońca Obozowego" poszukuje biegłego tłumacza z polskiego na francuski, z umiejętnością pisania na maszynie. Zgłoszenia natychmiast.

Z GOŃCOWYCH WĘDRÓWEK

Nad modrym Lemanem i powyżej



Z tzw. »powodów od redakcji niezależnych«— co nie jest bynajmniej wykrętem, lecz twardą rzeczywistością — »Goniec«, mimo że się zwać chce »obozowym«, nie miał dotąd możności zapuścić swych zwiadów sprawozdawczych do naszych obozów w południowej Szwajcarii. Aż tu pewnego majowego poranka urocza wróżka w postaci poczciwego naszego pocztowca przynosi wyjednaną przepustkę na teren odcinka »Rhône«. Wykrzyknąwszy więc w duchu trzykrotne »hurra!«, pakuję niezbędne manatki i ruszam w drogę.

Jadę sobie, jadę via Fryburg het na południe — gdzie to przecież, jak wiadomo, kwitną cytryny a wino też można spożywać „na pniu", — ale z początku jakoś nic ciekawego nie widać. Przesiadka na stacyjce Puidoux-Chexbres (wymawiać jak nasze »chrząszcz brzmi w trzcinie«, albo jak »Szczebrzeszyn nad Wieprzem«) i jazda w kierunku Vevey. Naraz — naraz aż zachłysnąłem się pięknym widokiem, jaki się nieoczekiwanie przedemna roztoczył. Pod rozległym modrym namiotem pogodnego nieba modre jak bławatek jezioro, w modrych gór objęciu... Jak gdyby szybka zmiana teatralnej dekoracji. Pociąg raźno się wtacza na strome, winogradem gęsto porosłe zbocze: chwilami bierze strach, aby się przypadkiem wagon nie stoczył w dół, ku wodzie. Ledwie parę godzin podróży, a już otacza mnie inny świat.

W pięknie położonym Vevey, gdzie przed laty mieszkał i żywota dokonał nasz wielki pisarz Sienkiewicz, zmierzam prosto do komendy odcinka, mieszczącej się w wielkim z nazwy i rozmiarów, ale prawie pustym hotelu tuż nad brzebiem Lemańskiego jeziora. Wokoło piękny park. Przychodzi mi na myśl, że w takim »zakątku« można od biedy dać się internować... Z naszym wytwornym i wymownym oficerem łącznikowym, majorem Ch., oznajmiam się u komendanta odcinka, miłego pułkownika P. Program mój ustalamy bez trudności.

Na pierwszy wieczór mam w planie wielki polski koncert w Montreux, który w Vevey odbył się poprzedniego dnia. Warto przytoczyć sprawozdanie, zamieszczone przez »Feuille d'avis de Vevey« z 29 maja na temat owego pierwszego występu:

»Koncert urządzony we środę wieczór w sali des Remparts, na rzecz polskich dzieci i jeńców, uzyskał wielkie powodzenie. W sali, przybranej z doskonałym gustem, chór złożony z polskich żołnierzy internowanych w kantonie Valais, wykonał pieśni ludowe swego kraju z mocą, zwartością i uczuciem, które zachwyciły słuchaczy. P. Aleksander Kagan, pianista wirtuoz, odegrał wiele stronic Szopena po mistrzowsku i był gorąco oklaskiwany. Tenor p. Pręgowski, jakkolwiek nie dysponując pełnią swych możliwości, wzruszył publiczność, śpiewając arie operowe z łatwością i dystynkcją naprawdę znakomitą...«

Efekt koncertu w Montreux był zupełnie podobny. Od siebie dodam, że wspomniany chór pochodził z obozu Illarsaz, a występował pod sprawnym »dowództwem« por. F., oraz że każdą piosenkę objaśniał krótko biegłą francuzczyzna plut. K.

W myśl znanego powiedzonka »wstąpił do piekieł, po drodze mu było...«, jako też dla wzmocnienia i utrwalenia swych wrażeń, idę jeszcze następnego dnia na ten sam koncert, urządzony w Aigle: jest to miasteczko, malowniczo położone wśród gór w dolinie Rodanu (Rhône), nieco powyżej jeziora Lemańskiego. Znowu rozbrzmiewa wśród obcych polska pieśń i polska muzyka, huczne oklaski wynagradzają „Warszawiankę," utwory Szopena, arie z polskich oper, kujawiaka... Potężna nuta chorału »Z dymem pożarów« zamyka i ten ze wszech miar udany występ. Zarówno organizatorowie z niestrudzoną panią Huntington na czele, jak i wykonawcy w mundurach dobrze się zasłużyli nietylko polskim dzieciom i jeńcom, lecz i głoszeniu polskiej kultury wśród przyjaznych nam ludzi, którzy nie wszędzie mają możność poznać nas z tej bezsprzecznie dobrej i pięknej strony.

Nazajutrz rano »skoro świt« (czy też może nieco później, bo to słońce teraz tak wcześnie wschodzi, i tu w dodatku niedziela...) ruszam wytkniętym szlakiem dalej w górę wzdłuż koryta mętnego Rodanu. Wkraczam, a raczej wjeżdżam w kanton Valais. Kraj tu już całkiem inny, niż okolica Vevey czy Montreux. Wąska dolina między dwoma pasmami gór (o szczytach tu i owdzie jeszcze śniegiem znaczonych, chociaż upał u ich podnóża). Na dworcach zaciekawiają mnie gromadki niewiast (tylko, proszę, bez złośliwych uwag, gdyż chodzi o czysto naukowe zainteresowanie folklorem!) w oryginalnych, czarnych i tylko haftem zdobnych strojach walezańskich. Minąwszy pięknie położone i ukoronowane zamczyskami miasto Sion, docieram szczęśliwie do obozu Granges.

Postawny dowódca obozu, kapitan J., oprowadza tzw. »rzadkiego gościa« po barakach, zbudowanych na niedawnym nadrzecznym trzęsawisku. Z przyjemnością spotykam ogn. S., naszego byłego drukarza, który po kursie w Matzingen znalazł się raptem na dalekim południu. Idę ze znaczną większością obozu na nabożeństwo do kościoła w pobliskiej wiosce i oglądam ryngraf, niedawno tam zawieszony przez naszych, a wykonany przez plut. U.; robota w metalu, tj. szata M. B. Częstochowskiej i Orzeł Biały, wykonana bardzo dobrze, twarz natomiast mniej udana — wydaje mi się, że zamiast płaskorzeźby należało rozwiązać to w rysunku rytym. Dziarskim marszem powraca artyleryjska wiara na obiad. Droga wysadzona wygiętymi od wiatru wiśniami, których owoce już zostały obrane (koniec maja), pomimo że w środkowej Szwajcarii jeszcze im daleko do dojrzenia.

Zapytuję mego gospodarza o współżycie naszych żołnierzy z miejscową ludnością, z którą wiąże ich praca i życie. Owszem, stosunki są nawet przyjazne. Bo to, wiecie, „ludność" lubi wypić, a nasi — jak wiadomo — też. Poza tym tutejsi cenią kobiety, na co i nasi oczu nie zamykają... Stąd wyłania się wyraźne duchowe pokrewieństwo — po prostu dwa bratanki! — ale też i wzajemna „zawodowa" konkurencja, która wprawdzie jest podobno dźwignią handlu (zapytajcie tych z kursów spółdzielczych), ale tutaj, pod wallijskim niebem i przy takimże winie, doprowadza nieraz do czynnego stosowania polskiego przysłowia, że »kto się lubi, ten się czubi...«

Za obiad należy się w imieniu »Gońca Obozowego« najwyższe redakcyjne uznanie zarówno gościnnemu gospodarzowi, jak i kuchennej „załodze". Inna rzecz, że był to obiad przy świętej niedzieli odrobinę wzmocniony, no i należycie zakropiony jakimś wcale udatnym domowym preparatem jako też niezgorszą butelką miejscowego



Przerwa obiadowa w obozie Granges

czerwonego. Należy przecież popierać wyroby krajowe! A że poza tym upał był cholerny, więc i przedstawiciel »Gońca« — choć w zasadzie prawie że abstynent — uważał się za całkowicie rozgrzeszonego.

Zresztą polowa ta biesiada była niczym w porównaniu z wyczynami niektórych naszych specjalistów, o jakich usłyszałem przy tej sposobności. Tubylcy początkowo wyjść nie mogli z podziwu, niekoniecznie dodatniego. Wyobraźcie sobie zdumienie, szczególnie żeńskiej obsługi, gdy przychodzi dwóch internowanych wojaków i »na frasunek« wychyla bez trudu trzy litry gorzały! Albo gdy innych pięciu gasi pragnienie 10 litrami wina z dodatkiem 2 litrów wódki... A pewnego razu przychodzi dwu naszych do gospody w Sierre: kazali sobie podać syfon wody sodowej — jako że był gorąc — no i, moiściewy, tym niewinnym napojem urżnęli się w drobną kaszkę! Okazało się jednak po bliższym zbadaniu, że ci dwaj cwaniacy do tej wody przynieśli z sobą... flache wódy!

No tak, w dobrych pokojowych czasach i na własnym gospodarstwie byłyby to nawet wydarzenia wesołe, a w każdym razie niezbyt szkodliwe. Tutaj natomiast, w naszym szczególnym położeniu i wśród obcych, choćby i życzliwie usposobionych, skutek bywa nieraz bardzo ujemny. Takiej „sportowej" reklamy trzeba nam jak najmniej, — zbyt poważna na to jest chwila.

Ponieważ dużo słyszałem o »naszej« kopalni w Chandoline, więc nie chciałem opuścić sposobności jej zwiedzenia, mimo że było to w niedzielne popołudnie, kiedy nikogo nie ma przy pracy. Kopalnia ta znajduje się wprost naprzeciw dworca kolejowego Sion, lecz po drugiej stronie Rodanu, wartko toczącego swe mętne a jak lód zimne fale. Maszerujemy tam wraz z kpt. J., podziwiając piekny krajobraz, i wpadamy prawie że w objęcia st. strz. Marc., idącego nam na spotkanie z odpowiedzialnym zadaniem czułej opieki z ramienia nieobecnego polskiego kierownika kopalni. Bo trzeba wam wiedzieć, że pracuje tam setka naszych górników i że robotami technicznymi kieruje oficer naszej dywizji, ppor. R., twardy górnoślązak.

Muszę przyznać, że wyzej wymieniony pełnomocnik zastępował gospodarza znakomicie, oprowadzając gości gdzie się dało i objaśniając, ile się dało — wszystko to czyniąc z rzadką swadą i osobliwym humorem. Kopalnia niewielka i niezbyt wydajna, ale tym oryginalna, że wszystkie szyby górnicze prowadzone są nie pionowo w ziemię, lecz poziomo wgłąb stromego stoku. Brała mnie ochota zapuścić się do wnętrza ociekającej wodą sztolni, ale był to zamiar zbyt groźny dla mego reprezentacyjnego munduru, więc po paru metrach trzeba było zawrócić.

Losy zrządziły, że wieczór spędziłem w Sionie, znalazłszy się — zgadnijcie gdzie? — po raz trzeci na omówionym już polskim koncercie. Powiedziałem sobie jednak, że od przybytku głowa nie boli. A że głębszego i ożywczego tchnienia polskości jest tu człowiek stale spragniony, nie nudziłem się bynajmniej. Zresztą spotkałem tam jednego z mych przyjaciół, kan. K., obecnie górnika, z którym mile się pogwarzyło. Ażeby zaś »przedstawiciel prasy« nie stracił czasu i dobrych nabrał wrażeń także poza koncertem, o to postarał się wspomniany już ppor. R., gospodarz na Chandolinie i na Sionie.

Tak tedy jeżdżąc kuligiem, »z pieśnią po kraju«, ani się człek spostrzegł, jak przeszły prawie 3 dni. Minęły jak z bicza strzelił — dlatego zapewne, że, zwyczajem, przodków, rzemiennym się jechało dyszlem, to tu to tam się przysiadając. Ale »służba nie drużba«, więc choć z żalem, ale syt wrażeń i ze świadomoścía dobrze i pożytecznie spędzonego czasu ruszyłem w drogę powrotną.

(aes)

Fotografie, omyłkowo załączone do innego listu, są do odebrania w Redakcji. Noszą one napisy: „Alfonsowi dla wspomnienia spędzonych chwil w domu, Elżbieta" oraz „Drogiemu braciszkowi daruje siostra, Eli".

Z prasy szwajcarskiej

PISZĄ O NAS...

— Internowani jako studenci. — W semestrze zimowym 1943 obejmował uniwersytecki obóz polskich studentów w Winterthurze 74 słuchaczy, w tym 31 na wydz. medycznym, 7 na weterynaryjnym, 13 na pedagogicznym i 23 na prawnym i ekonomicznym. Słuchacze, którzy stoją przed ukończeniem nauk, zostali dopuszczeni do wpisów na Uniwersytet Zuryski. Ponadto zezwolono większej grupie dobrze zapisanych studentów na uczęszczanie na wykłady w Zurychu, począwszy od 5 semestru, w charakterze słuchaczy zwyczajnych. Że sprawozdania Uniwersytetu Zuryskiego za rok 1942/3 wynika, że docenci tej uczelni zebrali w tym czasie 2.572 fr na fundusz pomocy, co pięknie świadczy o poczuciu międzynarodowej wspólnoty akademickiej.

(»Zofinger Tagblatt« z 18/V)

— Samochód z polskimi internowanymi uległ wypadkowi. — Szef prasowy właściwej komendy okręgu wydał następujący komunikat:

Około 40 polskich żołnierzy opuściło Wallis, gdzie byli internowani, udając się do Villarlod (Fribourg) celem wzięcia udziału w pracach rolnych. W Romont wsiedli do przyczepki holowanej przez ciągnik. Między Syens i wioską Orsonnens, gdzie droga osiąga znaczną stromiznę, samochód nabrał z niewiadomych jeszcze przyczyn tak wielkiej szybkości, że ciężka przyczepka wywróciła się, wyrzucając na brzeg drogi jadących w niej żołnierzy. Lżej uszkodzeni pośpieszyli natychmiast z pomocą swoim ciężej rannym towarzyszom. Na miejscu wypadku zjawił się natychmiast lekarz. Rannych przewieziono do szpitala w Billens. Stan ich zdrowia nie budzi obaw.

(»Luzerner Tagblatt« z 24/V)

— Koncert polskich internowanych z uniwersyteckiego obozu w Winterthurze, urządzony na cele dobroczynne, wprowadził grono licznych, gorąco oklaskujących słuchaczy w tajniki dla wielu zupełnie nieznanej muzyki polskiej, szczególnie muzyki klasycznej. Jak chętnie bylibyśmy poznali — przynajmniej w części wokalnej programu, który był bodaj że nawet zbyt bogaty — również pieśni ludowe, w które Polska tak obfituje! Bo jedynie ta muzyka ludowa objawia z nieomylną pewnością duszę narodu.

Z wielkim umiarem prowadzony przez Wł. Sz. chór męski, złożony z około 40 śpiewaków, stanowił posłusznyin strument o wyrównanej barwie dźwiękowej, złożonej z piejnych na ogół głosów, zdradzających duże wyrobienie w nieomylnej rytmice i w bogatej dynamice. Najwięcej podobał się »Maciek« i »Sztandary polskie na Kremlu«.

Bardzo udatnym był występ tenora Zdz. Pr., obejmujący arie z oper polskich kompozytorów. Miły, pełny głos artysty wykazuje dobrą szkołę.

Program objął wkońcu występ pianisty Al. K., który wykonał kilka dzieł Chopina.

Całość programu była gorąco i długo oklaskiwana przez słuchaczy, którzy nie szczędzili wyrazów sympatii dla wygnanych ze swej ojczyzny artystów.

(»Aargauer Tagblatt« z 15/V)



Ku jakiej Polsce idziemy?

Jak ciężko odwalona skiba legły za nami trzy lata internowania, lata ciężkiej orki i zmagań dla niejednego, lata udręki, niespełnionych nadziei i zawodów dla całej naszej gromady. Wszyscyśmy się o trzy lata postarzeli, a niejeden ubył z naszych szeregów na zawsze. Jesteśmy jednak o trzy lata bogatsi doświadczeniem i bliżsi — kto dożyje — końca tej straszliwej wojny. Przybliżyliśmy się o krok do niepodległej Polski.

Czegośmy dla niej dokonali w tym czasie, będzie nam policzone na równi z tym, czegośmy nie dokonali. Bilans będzie kiedyś na innym miejscu prawdopodobnie szczegółowo zbadany i omówiony. Obecnie, na początku czwartego roku naszego tutaj pobytu, musimy sobie postawić wyraźnie pytanie:

Ku czemu naprawdę idziemy?

Pytanie to stawiają sobie dziś wszyscy Polacy na całej kuli ziemskiej. I my na internowaniu musimy to uczynić. Odpowiedź, że dążymy ku Polsce niepodległej wymaga bliższego określenia. Ku jakiej Polsce? To zadanie bliższego określenia stawiają nam swoi i obcy. Nikt, poza Reichem, nie kwestionuje sprawy naszej niepodległości, ale świat chce wiedzieć, jaka będzie ta Polska. A od właściwej odpowiedzi na to pytanie zależy wiele, bardzo wiele.

Pytanie to m. in. usłyszałem niedawno z ust człowieka życzliwego nam i interesującego się naszą sprawą. W domu jego pradziadków mieszkał i życie zakończył Tadeusz Kościuszko. Ale odpowiedź na to pytanie, odpowiedź poszerzoną sprawą przyszłych naszych granic, chciałby i niejeden z nas usłyszeć już dziś, by wiedzieć, co dalej czynić i jak się do życia ustosunkować. Odpowiedź jednak na to pytanie nie jest łatwa, i to z wielu przyczyn.

Jedni z pewnych powodów chcieliby w ogóle odsunąć to pytanie, twierdząc, że o tym ktoś inny gdzieś zadecyduje, drudzy uchylają się od myślowego wysiłku w tym względzie, inni uważają, że jeszcze nie czas o tym mówić albo odpowiadają, że na razie nie wiemy dokładnie, jak dalece kraj nasz został zniszczony, ilu ludzi zginęło i jakich potrzeba będzie fachowców.

To pewne, że spustoszenie kraju jest wielkie, że w gruzach dziedzina kultury i oświaty, że Polska gospodarczo została zrujnowana. Że miliony grobów polskich czekają również na naszą odpowiedź.

Prawda, że wielu rzeczy jeszcze nie znamy, ale to, co już wiemy — zdaniem moim — pozwala w przybliżeniu przynajmniej na zorientowanie się w sytuacji i rozważenie pewnych podstawowych zagadnień. Wiemy więc np., że okupacja zespoliła naród od nizin po szczyty w ciężkiej doli. Dalej wiemy, że warstwy inteligencji przechodzą przysposobienie nędzy i głodu i oceniają należycie wartość pracy fizycznej. Wiemy, że chłopa usiłują tam wykarczować z jego ziemi, a robotnika, jak sprzęt ruchomy, przerzucają z miejsca na miejsce. Wiemy, że — co najpotworniejsze — zniszczono oświatę. To wszystko jest ogromnie ważne. Ważnym jest również, że ok. 4 milionów Polaków znalazło się poza granicami ojczyzny, czyli że więcej niż co dziesiąty Polak przebija się przez świat. Jeśli milon Polaków pracuje w Reichu, to co 35-ty poznał dokładnie Niemców w Reichu; co 15-ty poznał ustrój komunistyczny w Rosji — w kołchozach, obozach i więzieniach. 30 milionów poznało Niemców w Polsce, a 15 milionów żyło prawie 2 lata pod okupacją bolszewicką. Dziesiątki tysięcy przeszło przez Węgry, Rumunię, Jugosławię, Włochy i Francję, a prawie co tysięczny poznał gruntowniej Anglię i Szwajcarię. Nie obca też już dzisiaj Azja i Afryka dla tysięcy Polaków. Pobyt poza krajem trwa dość długo i wywiera swój wpływ.

Jaki zaczyn wniosą po wojnie te tysiące, setki tysięcy i miliony Polaków do Polski, do swoich rodzin, warsztatów pracy, wsi i miast, gdzie też w międzyczasie wiele się zmieniło? Trudno to dziś dokładnie ustalić, jedno wszakże jest pewne: o tym trzeba myśleć.

Żadne inne państwo na świecie i żaden naród nie przechodzi takiej lekcji w tej wojnie, jak my i tak wielkim, jak my, nie ulega obecnie przeobrażeniom we wszystkich swoich warstwach. Kto umie myśleć, ten rozumie, co to znaczy i przewiduje, w jakim kierunku pójdą wysiłki nowych wsi i miast, a przynajmniej zda sobie sprawę z tego, że tym razem naprawdę wiele rzeczy minęło już bezpowrotnie i to zarówno w dziedzinie ustrojowej, jak gospodarczej, społecznej, politycznej, kulturalnej, a nawet może i w religijnej; że Polska po wojnie będzie terenem żmudnej pracy i ogromnych wysiłków, a nie czyjegokolwiek panoszenia się lub pasożytowania.

Wszyscy Polacy na własnej skórze przekonali się, co to znaczy własne niepodległe państwo. Walka o nie stała się udziałem wszystkich: mężczyzn i kobiet, młodych i starców, wojska i cywilów. Zdobyliśmy ogrom doświadczenia, które chyba nie pójdzie na darmo. Cywil pojął ważność organizacji wojska, a wojskowy przestał bagatelizować dziedziny życia cywilnego. Oficer przekonał się, co znaczy rozumny szeregowy z inicjatywą, a szeregowiec dowiedział się, co wart jest uczciwy, inteligentny i fachowy dowódca. Wszyscy wiedzą, co wart jest dobry lekarz, inżynier, kowal, listonosz, szofer; co znaczy dobrze zorganizowany przemysł i handel, co to jest zależność od obcego kapitału, co to znaczy czas. Słowo »zapóźno« nabrało wagi ołowiu. Ileż ofiar i klęsk kryje się za tym słowem! Zapóźne dozbrojenie, zapóźne zjednoczenie, zapóźna decyzja, zapóźna pomoc... Zegarek i ołówek zrównały się z armatą i bagnetem. Pojęliśmy współzależność pracy wszystkich zawodów i stanów. Kolejarz, sanitariusz, nauczyciel czy kowal stanęli na równi z profesorem uniwersytetu, jako nie mniej wartościowi od dyplomaty, publicysty czy ekonomisty. Inteligent i robotnik stwierdzili, że dopiero zespół mięśni i mózgów coś znaczy. Gdy zracjonowano chleb, pojęliśmy, co to rolnik i ziemia, a gdy skończyły się pensje i oszczędności — oceniliśmy właściwie wartość pracy fizycznej, dającej kawałek tego chleba. Co to jest solidarność narodowa, a co zmysł organizacyjny, co bufonada a co prawda znaczy w życiu zbiorowości — o tym przekonaliśmy się również. Gdy ogarnęła nas fala nieszczęść, a rachuba na traktaty zawiodła — zrozumieliśmy wartość pierwiastka nie materialnego oraz znaczenie wiary w pomoc i sprawiedliwość Bożą.

Czy wszyscy wyciągniemy z tego poznania należyte wnioski — to inna sprawa. Ale od tego zależy układ rzeczy w przyszłości. Od tego zależą ustrój i granice Polski. Od tego zależy, jak i ku jakiej Polsce idziemy i czy zdajemy sobie z tego sprawę. Od tego zależy właściwa odpowiedź.

Piotr Adamowski

CZYTELNICY PISZĄ



I znowu sprostowanie

Nasz Czytelnik **H. R.** z St. Blaise pisze o ks. biskupie Bandurskim (patrz »Dodatek religijny« do nr. 4/5 »Gońca«), co następuje:

»... Ks. biskup dr Banduski nie był, niestety, biskupem polowym W. P. w odrodzonej Polsce, gdyż, jako Polak o wielkim naprawdę sercu oraz gorący zwolennik ówczesnego Naczelnika Państwa, nie miał pełnego zaufania w Watykanie. Aczkolwiek ks. bp Bandurski z tytułu swej pracy duszpasterskiej w Legionach Polskich na stanowisku biskupa polowego był wymarzonym kandydatem, godność powyższa w Polsce niepodległej została przez Watykan powierzona nieznanemu poprzednio wśród żołnierzy ks. bp. Gallowi. Ks. bp Bandurski był tylko (o ile wiem— bez formalnego zatwierdzenia) biskupem polowym wojsk Litwy Środkowej, na którym to stanowisku pozyskał sobie serca nie tylko żołnierzy, ale także całej ludności na Wileńszczyźnie. Po przyłączeniu się Litwy Środkowej do Polski, ks. bp Bandurski żadnego biskupstwa w Polsce nie otrzymał i do końca życia był na opiece wojka polskiego, gdyż najwyższe władze kościelne nim się nie interesowały...«

JESZCZE RAZ: NIE CAŁOWAĆ SIĘ!

„Domar“ z Herisau powraca w swej korespondencji do poruszonej już przez nas w gawędzie »Jak zachować się w Afryce i... gdzieindziej« sprawy pocałunków. Czytelnik nasz pisze m. in.:

»... Wiele jest bolączek naszego żołnierza w Szwajcarii. Jedni skarżą się na ciężką pracę fizyczną, inni utyskują na płacę, są również maruderzy, którym nie dogadza wyżywienie, bo brak w nim raków, ślimaków i żabich nóżek... Są jednak i tacy, którzy modlą się o stuletnią wojnę. A tu i ówdzie można się natknąć na naszycch studentów, którzy po 2 latach studiów uskarżają się na egzaminy, odbywające się nie po polsku, lecz w językach obcych...

... Do różnych tych bolączek dochodzi nawyk całowania się. Po prostu nie zastanawiamy się ani myślimy nad tym, co czynimy. Toteż całujemy się na dworcach kolejowych, autobusowych, tramwajowych, na ulicach miast i wsi, w lokalach i na ulicach itd. W listach i na pocztówkach wysyłamy sobie moc całusów świątecznych, imieninowych, urodzinowych itp.«

Jedynie — jak wskazuje autor korespondencji — nie zastanawiamy się, że przecież to nagminne »obcałowywanie się« jest nie zawsze bezpieczne, bo:

»... Iluż to nie myje należycie zębów, a często w ogóle je zaniedbuje. Resztki jedzenia, uwędzone w dymie fajczanym lub »brisago« wytwarzają niemiłą woń, ale o tym mało kto myśli...

... Wielu jest chorych na zęby i inne choroby utajone, o których całujący się nie wiedzą. Dotyczy to nie tylko jamy ustnej, ale również i twarzy.

... Całowanie się mężczyzn sprawia przykre wrażenie wśród cudzoziemców, którzy nas pilnie obserwują a zwyczaju tego nie znają«.

PISAĆ O TYM, CO NAS CZEKA...

R. T. z Chavannes de Bogis pisze:

»... Znając dobry wygląd »Gońca« w stosunku do warunków i możliwości, pragnąłbym zapytać, czy nie należałoby zamieszczać artykułów, omawiających to wszystko, co leży przed nami i co nas czeka po zakończeniu wojny, a o czym w bałaganie życia obozowego nie pamiętamy lub o czym wcale nie myślimy. Wyczuwa się z rozmów, że mało kto zdaje sobię sprawę z ciężkich chwil i lat, jakie nastaną w Polsce powojennej. Jak nie wszyscy zdają sobie sprawę z tego, co się naprawdę w Polsce dzieje i jakie to będzie miało wpływ na dalszy los naszego narodu i państwa«.

POD SĄD KOLEŻEŃSKI!

W innym liście wspomniany wyżej nasz Czytelnik kreśli następujący obrazek, godny zastanowienia i wyciągnięcia odpowiednich wniosków:

»... Przy wejściu do gospody wita mnie dziki chór ochrypłych głosów, śpiewających... »Oczy czarne«. I spojrzenia szwajcarskich gości, jak gdyby pytających z przerażeniem: Jeszcze jeden? Na kawę czekam długo, bo kelnerka jest rozchwytywana — dosłownie — drapieżnymi rękoma kilkunastu internowanych. Podchodzi wreszcie, zimno pyta o zamówienie, marszczy brwi na hałaśliwe nawoływania od »polskiego« stolika, a, idąc z kawą, musi się uchylać od wyciągających się ku niej rąk.

A przecież w pierwszą niedzielę pobytu w tym lokalu uśmiechała się serdecznie, podawała rękę, uprzejmie odpowiadała na pozdrowienia.... Gdy wychodzę z gospody, wpada mi w ucho kilka słów na nasz temat, wypowiedzianych przez szwajcarskich gości. Bolesne to słowa. A przez okno leci już ku mnie, podejmowany dzikimi głosami, nasz... hymn narodowy! Choć ci sami, którzy go teraz w knajpie dosłownie ryczeli, na trzeźwo zaledwie pod nosem spiewali przy innej sposobności.

Takich stolików z takimi »gośćmi« nie było więcej. Tylko jeden. Ale dla kogoś obcego byli to nie ci lub tamci internowani, lecz internowani i Polacy w ogóle. Sześciu w stosunku do dwustu kilkudziesięciu w obozie oraz kilkunastu tysięcy na internowaniu (czy kilkudziesięciu, milionów w świecie — sześciu, którzy nam »robili« opinię!

Co im grozi? H. P. lub kilka dni paki? Można zaryzykować, nie?

A może by takimi »propagatorami« polskości zajął się jakiś sąd koleżeński?«

Istotnie obrazek — który zresztą przytoczyliśmy w urywkach, bo całość, jak na »Gońca«, jest za mocna, choć, niestety, prawdziwa — zastanawiający. Jeszcze wciąż, jak się wydaje, nie rozumiemy, że wśród obcych reprezentujemy naród polski — umęczony i walczący — i że nie mamy prawa obniżać jego wartości w oczach obcych, którzy tak jak nas widzą — nie nas, ale cały nasz naród osądzają. A czas już wielki, ażeby wszyscy zdali sobie z tego sprawę...

Starszy Strzelec

ADRESY: Redakcja: Redaction du Journal des Internés polonais, Münchenbuchsee.
Administracja: Commissariat Fédéral à l'Internement, l'Officier de presse, Poste de campagne 17.
Wpłaty dla „Gońca Obozowego“ na (blank. ziel.) Postcheck-Konto: Presseoffizier für Int. Zeitung — III, 13212, Bern.

Cena „Gońca Obozowego“:
dla oficerów i aspirantów Fr. 0.30
dla podoficerów i szeregowców Fr. 0.15
dla osób cywilnych (kwartalnie) Fr. 1.80

L'Officier responsable du Journal des Internés polonais
Major CORREVON
Commissariat Fédéral à l'Internement,
Poste de campagne 17.